

## Teatr

## Komedia o literatach

Premierę „Pana Jowialskiego” na radomskiej scenie poprzedziła gromka reklama prasowa. Prasa dzisiaj mało komu może się przysłużyć, a reklama budziła i budzi uzasadnione podejrzenia czytelników. Nie mam tu na myśli informacji o tym co teatr robi, bo jest to niezbędne, przeciwny jestem natomiast robieniu „huczku” wokół sprawy, której jeszcze nie ma. Gdybym więc był złośliwy, nadałbym tej recenzji tytuł też komediowy: „Wiele hałasu o nic”, jednak nie uczynię tego, świadom nieobliczalnych skutków takiej pochopności.

Jeszcze się przedstawienie nie zaczęło, a już jest ładnie: sielski pejzaż, którym zamałowana jest cała kurtyna, z jednej strony sceny altanka, z drugiej kapliczka, wszystko bajecznie kolorowe, można się wpatrywać, można się zachwycać, tyle że trochę za dużo tych piękności. Tym bardziej że część uwagi widzów trzeba by skoncentrować na aktorach. Niestety, ani Marek Michał Ubysz (Ludmir) ani jego partner Marek Pączek (Wiktor) nie odnieśli sukcesu, toteż naszamotoali się sennie. A wiadomo, co znaczy dobry początek. W następujących po sobie scenach Marek Ubysz rehabilituje się wprawdzie (podczas wcielen w zabawnej scenie teatru improwizowanego), nie był chyba jednak dysponowany tego wieczoru do stworzenia przekonującej kreacji aktorskiej.

Zaczęliśmy od spraw nie najważniejszych. „Pana Jowialskiego” napisał Fredro bezpośrednio po upadku powstania listopadowego, w którym ten dzielny żołnierz Napoleona udziału nie wziął (życzliwi komediopisarzowi biografowie znajdują na usprawiedliwienie pupila argumenty w tym, że urodził mu się pierworodny syn, że miał ataki podagry, że mógł się już czuć zmęczony — jak gdyby to miało jakkolwiek związek z uprawianym zawodem). Różnie też interpretowano wymowę społeczną tej komedii, widząc w niej próbę ratowania społeczeństwa przed apatią i melancholią, to znowu okrutną satyrę na bezmyślność, sobkostwo i głupotę domu Jowialskich. Dopiero Teatr Narodowy dokonał w roku 1928 przełomu, prezentując korowód sympatycznych oryginałów. Sława tej komedii zwanej nie bez przyczyny „sfinksem polskiej literatury” wynikała odąd z aktorstwa wielkich odtwórców, przede wszystkim roli tytułowej. Marian Wyrzykowski grał więc artystę, Zdzisław Mrożewski — życzliwego otoczeniu artystokratę. Ludwik Solski — sympatycznego facecjonistę. Kim może być Jowialski dla współczesnego aktora i widza?

Jedno jest pewne, ten za-możny ziemianin (wszak synowi kupił tytuł szambelański, a to kosztowało niemało) życzli-

wy ludziom, wzorowy i czuły mąż, zawzięty kolekcjoner przy-szków, gadek, aforyzmów i maksym, bajek i paraboli zasłu-guje na poważniejsze od kome-diowego potraktowanie. Sam autor tak go scharakteryzo-wał: „Dobroduszny, pełen pro-stoty starowina”, „Boy zaś cał-kiem słusznie nobilituje sta-ruszka gadułę twierdząc, że „Kiedy Jowialski recytuje baj-ki, jest artystą, zakochanym w doskonałości słowa” Więcej — oczekuje z tego tytułu sławy, cieszy się, że „będzie drukowa-ny”, chociaż obiecano mu tyl-ko dedykację. W każdym ra-zie autor obdarzył swego bo-hatera cechami wyłącznie do-datnymi.

Tak też uczynił Jerzy WA-SIUCZYŃSKI, obdarzając Jo-wialskiego serdecznym ciepłem, starannie pielęgnując zalety i ułomności staruszka. Myślę, że jest w tym coś więcej niż wier-ność autorowi i tradycji, widzę w tym mimo wszystko świadomy acz dyskretny dydaktyzm jako formę wyrafinowanej przekory wobec rzeczywistości, która okrutnie wytepiła Jowialskich, wynosząc na piedestał egoistów. Miły, delikatny, uprzejmy, go-ścinniej bez granic, różelwny, zawsze ludziom życzliwy Po-lak — jest taki poza teatrem?

Tak, ale nie na dydaktyzmie Wasiuczyński wraz z reżyserem (Zygmunt WOJDNAN) tę rolę budowali. Przeciwnie, obaj po-deszli do dydaktycznego ładunku komedii z dużą rezerwą i dystansem. Jowialski Wasiuczyńskiego nie daje nam recept na życiową mądrość, nie obnosi się ze swymi wspaniałymi ludz-kimi cechami — on je po pro-stu ma. On się spontanicznie cieszy jako kolekcjoner. Nie tyraniżuje swoich słuchaczy, a przyszłowiowa już formuła „Znacie? — no to posłuchajcie” nakoje nie nuży, przeciwnie, zapowiada za każdym razem artystyczną przycgodę. W tym momencie zaskoczenie dia-recenenta gotuje nie tylko aktor, jeszcze większe sprawia reakcja radomskiej widowni, która w sposób dziewczczo świe-ży odbiera opowiadki Jowial-skiego, jakby ich igdy przed-tem nie słyszała. Nawet pod-czas (świeżniej zresztą) recyta-cji bajki o Pawle i Gawle wid-zowie wstrzymują oddech. To wspaniałe i przykre zarazem. Wspaniałe, bo podniecające dla wykonawców, przykre, że wy-rośli nam oto pokolenia jałowe kulturalnie, odcięte od war-tości kulturowych będących w kwiobieggu ludzi „starej de-ty”. Nie da się więc przecenić roli teatru w nadrabianiu strat.

Radomski „Jowialski” stanął okoniem wobec teatralnego ro-dowodu i bagażu tradycji. Wprawdzie nie wygrano tu — jak się wydaje — wszystkich atutów, nie starczyło odwagi na daleko posuniętą rewizję schematów i stereotypów. Pe-wnie istotny trop wskazuje w swej ostatnio wydanej książce „Sekrety fredrowskie” Wojciech Natanson, dla którego „Pan Jowialski” jest przede wszyst-kim sztuką o pisarstwie i o li-teratach. Ludmir — zawodowy literat, zbiera jak wiadomo ma-

teriał do swej powieści w chłopskich chatkach, zajazdach i karczmach przydrożnych „Ja-ka szkoda — pisze badacz — że to jedynie postać z komedii. Gdyby naprawdę istniał, zmeli-łbyśmy albo polskiego Balzaca albo Dickensa już w latach trzydziestych XIX stulecia”. Intuicyjnie uatomiła się już po radomskiej premierze) nadał reżyser tej komedii wator nosi-cieła współczesnego patriotyzmu, który polega przecież nie tyl-ko na gotowości do najwyższych ofiar wobec ojczyzny „To prze-cież — mówi Natanson — tak-że i docenianie zalet ludzi, wśród których się żyje, mówią-cych i myślących podobnie, jed-nakowo czujących i cierpią-cych”. Tu omawiane przedsta-wienie trafia w sedno rzeczy niezawodnie.

Na dwie jeszcze sprawy war-to zwrócić uwagę. Pierwsza to fascynacja reżysera „teatrem w teatrze”, wdzięcznie i błysko-śliwie zorganizowana komedia dell'arte, druga — to rozbudowanie (scenicznej) wątku miłos-nego, który w komedii Fredry odgrywa rolę trzeciorderną i jest zaledwie zarysowany. Ale jak się ma w zespole takich aktorów jak Ewa PIETRAS i Konrad FULDE, to okazji za-prześcić nie wolno. Ta właś-nie para wspaniale angażuje widownię, a wysoka kultura słowa i niezawodna „fredrow-ska intuicja” daleko ją od po-zostałych wykonawców dystan-sują. Niestaranneść wymowy, lekceważenie reguł i praw je-zyka ojczystego (bo już nie o subtelności języka Fredry cho-dzi) zaczyna się panoszyć na tej scenie w sposób budzący nie-pokój. To ostatni chyba dzwo-nek na opamiętanie się, inaczej skazani będziemy na oglądanie dekoracji i zatykanie uszu pod-czas przedstawień.

O urodzie „Pana Jowialskie-go”, ale tylko dla smakoszy, stanowi jeszcze postać Szambe-lana. Jakież to wspaniałe dzieł-ka tworzyli w scenie „z kilka-mi” Zelwerowicz, Fijewski — by przywołać na pamięć tyl-ko te dwa nazwiska. Jerzy GŁEBOWSKI otrzymuje brawa przy otwartej kurtynie, co już jest bardzo wymowne. Może i lepiej, że nie dał się nadmier-nie ponieść chętkom „przebi-cia” starych mistrzów i zagrał starego (ale przecież nie starsze-go od ojca) safandulę z całym bagażem najwności, jaką ta po-stać ze sobą niesie. Aurę świę-tej cierpliwości i miłości mał-żeńskiej jako efektu dozgon-nych ślubów roztacza Magdale-na RADŁOWSKA w roli Pani Jowialskiej, poruszając się przy tym z lekkością wnuczki swego męża.

Wiele słowności (czy nie nad-miar?) wykazał Karol JABLON-SKI w przygotowaniu sceno-grafii, która może wprawić w olśnienie przy dzisiejszym asce-tyzmie teatrów dotkniętych re-formą gospodarczą (surowce i ceny!). Muzyka Jacka SZCZY-GLA wdzięcznie nam Fredrę przybliży. Podobno sam autor tak się rozkoślił grą aktorów na premierze, że opuścił teatr przed końcem spektaklu. Czy w Radomiu wytrzymał do so-fica? Może by i wytrzymał, ale swoje by później powiedział.

STANISŁAW MIJAS